

Wojciech Gołabowski

Dzień wypłaty

Wreszcie przyszedł. Z dawna oczekiwany. Dzień wypłaty. Udało mi się uniknąć poklepywań po plecach i zaproszeń na piwo. Szybko jednak wyniosłem się z biura. Teraz czekał mnie bardziej uciążliwy odcinek drogi: środek miasta. Musiałem dostać się do centrum, bo właśnie tam miał sklep jubiler - mój znajomy z czasów dzieciństwa. Oczywiście, mógłbym czynić zakupy w innym sklepie: tańszym, droższym, bliższym, dalszym - nie o to chodziło. Ale memu znajomemu raz wytłumaczyłem, o co chodzi, no i teraz był przygotowany na moje comiesięczne zakupy. A były to zakupy nie lada: za całą miesięczną pensję.

Mogłem wziąć taksówkę. Mogłem pojechać autobusem lub tramwajem, ale nigdy tego nie robiłem. Wolałem trochę zaoszczędzić. Poza tym zawsze lubiłem spacerować. No i paradoksalnie był to jeden z szybszych sposobów podróżowania po mieście. Wreszcie, po dwóch próbach przejechania mnie przez zestresowanych kierowców, po pięciu rozczarowanych kieszonkowcach, po dwudziestu sześciu pseudo żebrakach i po ośmiu nachalnym sprzedawcach obnośnych dotarłem do sklepu znajomego. Zaprosił mnie na zaplecze. Zaprezentował mi swą miesięczną propozycję. Zgodziłem się bez zbytniego wahania. Miał dobry gust, a ponadto umiał sobie wyobrazić, co może mi być przydatne. Dokonałem komputerowej transakcji, przelewając pozostałe na koncie po automatycznym odliczeniu podatków i opłat za mieszkanie pieniądze na rachunek jubilera. Zaszłyśmy

precjoza w szmacianym pasie, przymocowałem go sobie pod ubraniem, na wysokości pasa. Byłem gotów do dalszej drogi. Teraz czekał mnie dość niebezpieczny odcinek - powrót przez miasto.

Na tym odcinku niechętnie musiałem brać taksówkę. Traciłem w ten sposób i czas, i trochę pieniędzy, ale zyskiwałem na bezpieczeństwie. Skąd miałem drobne na taryfę? Nie miałem. To jubiler ją zamawiał, on też płacił. Wszystko było wliczone w cenę, nie tracił na mnie ani grosza. Nie zamieniłem z kierowcą ani słowa więcej niż było potrzebne do określenia punktu docelowego drogi. Wysiadłem z auta, rozejrzałem się dyskretnie na boki. Nic podejrzanego. Prawie pusta ulica, kilku przechodniów. Spokój przedmieścia. Tutaj, przy Bramie, wynajmowałem pokój. Nie był mi potrzebny do niczego. To znaczy, niczego prócz formalnego miejsca zamieszkania, potrzebnego dla administracji. Dla banku. Dla pracy. Ewentualnie dla poczty, choć ta prawie nie przychodziła. Najwyżej jakieś ulotki, ankiety. Żadnej korespondencji. Zaglądałem do tego "domu" raz czy dwa razy w tygodniu, głównie po to, by dać znać właścicielce, że żyję. W dzień wypłaty jednak nie miałem na to ochoty. Wszedłem szybko w Bramę.

Dla wszystkich ludzi była to normalna brama wjazdowa na podwórze. Dla mnie była to Brama. Przekroczyłem ją i odetchnąłem z ulgą. Tu, na kamienistej pustyni u podnóża średnio wysokich gór mogłem trochę odpocząć. Zrelaksować się. Jeśli nie liczyć kilku skorpionów i paru węży, nie groziło mi nic. Czekają mnie teraz dwa - trzy kilometry prostej drogi do następnej Bramy. Doskonale wiedziałem, gdzie jej szukać. Była dobrze widoczna, odcinała się od reszty zielonego zbocza swoim mrokiem. Ale była tak widoczna tylko dla mnie. Kiedyś próbowałem przeprowadzić przez Bramę

mojego przyjaciela. Jak potem twierdził, nagle rozmyłem się w powietrzu i zniknąłem z jego świata. Cóż, dobrze że przynajmniej ubranie i inne martwe przedmioty dawały się przenieść na drugą stronę.

Dotarłem do zbocza. Tuż przy Bramie stało mizerne drzewko, na tyle jednak rozłożyste, iż utrzymywało ciężar mego brezentowego wora z przebraniem. Nie spiesząc się wyciągnąłem z jego środka obszerny habit i nałożyłem go na siebie. Głęboki kaptur skrywał w cieniu moją twarz. Byłem gotów do pokonania następnego odcinka drogi do domu. Wszedłem w Bramę. Tak, w tym świecie bywa niebezpiecznie. Może cię na przykład stratować rozpędzony koń jakiegoś rycerza. Mogą cię napaść rozbójnicy. Chłopi mogą zadźgać cię widłami lub cepami przetrącić ci kark. Dlatego też po pierwszej, krótkotrwałej wizycie zakończonej pogonią wśród oskarżeń o czary wolałem zaopatrzyć się w mnisi habit. Dawał on określone poczucie bezpieczeństwa, niejako nietykalność osobistą. Następna Brama znajdowała się wprawdzie niedaleko, ale droga do niej prowadziła przez ruchliwą wieś. W niej jak zwykle panował smród - pomyje spływały drogą, pod nogami wałęsały się zwierzęta. Niemiłosierny był także hałas : ludzie wrzeszczeli na siebie, na dzieci, na zwierzęta, te ostatnie szczekały, gdakały, gęgały i chrząkały. Nie chciałbym tu mieszkać.

Odetchnąłem z ulgą, gdy tylko wyszedłem z wsi. Na szczęście ludzie w niej schodzili mi z drogi z szacunkiem, choć czasami dzieci próbowały zerwać mi z głowy kaptur. Zdarzało się też spotkać innego mnicha, od razu chcącego wspólnie się pomodlić czy porozmawiać. Wtedy szybko dawałem znaki rękoma mające sugerować, jakobym złożył przysięgę milczenia. Nie to, żebym miał coś przeciw wspólnej modlitwie - po prostu nie znam łaciny. Nie wiem co prawda,

czy w tym świecie właśnie łacina była językiem urzędowym, ale wolałem tego na własnej skórze nie sprawdzać. Zakładam, że ten świat wiernie odwzorowuje nasze średniowiecze; ba, może i to jest nasze średniowiecze! Kto wie...

Skręciłem ze ścieżki i dotarłem do Bramy. Niebezpieczeństwo spotkania innych mnichów polegało także na tym, że mogli chcieć mi towarzyszyć w drodze. Przecież nie mogłem nagle zniknąć im z oczy! Zaraz by to miejsce ogrodzili i zaczęliby czynić egzorcyzmy. A przecież musiałem wtedy prawie codziennie przechodzić niepostrzeżenie!

Po drugiej stronie Bramy było jak zwykle parno i gorąco. Byłem w jakimś tropikalnym lesie, czy może nawet w dżungli. Nie miałem ochoty tego sprawdzać po tym, jak pewnego dnia przemknął mi przed oczami olbrzymi tygrys. No, może to nie był tygrys. Nie znam się na tym. Szybko obszedłem dookoła Bramę i wszedłem do niej z drugiej strony. Jest to jedyna znana mi Brama dwustronna. Do innych albo nie da się wejść z drugiej strony, albo ich stamtąd w ogóle nie widać. Ta stanowi ewenement. Może jest ich więcej gdzieś rozsianych, nie znalazłem do tej pory innych. W każdym razie dobrze, że w tym świecie nie musiałem być długo, gdyż moje ubranie nie nadawałoby się do niczego, a zwłaszcza do pracy w "moim" świecie.

No, wreszcie byłem w domu. Na polance, gdzie znajdowała się Brama, pał się mój ogier. Zarżał na me powitanie. Poklepałem go po karku i przebrałem się w ubranie przytroczone do jego boku. Z jaką rozkoszą zdjąłem z siebie "normalne" ubranie! Dopiero teraz zaczynałem czuć, że żyję. Dosiadłem wierzchowca i przyjechałem do domu. Do jedyne go mieszkania, który nazywam "domem". Do mojej ukochanej, wyczekującej mnie na ganku. Do jej pocałunków i

miłości. Do mego nienarodzonego jeszcze dziecka. Nie wiem co prawda, co wyjdzie z tego związku, ale jestem pełen nadziei. To nic, że ona jest elfką i będzie żyć dłużej ode mnie. Któż wie, kiedy nam śmierć pisana?

Spytacie, czemu pracuję tak daleko od domu. Cóż, próbowałem załapać się na coś opłacalnego w tym świecie, ale... Ukończyłem studia ekonomiczne, nie znam się ani na rolnictwie, ani na handlu, ani na hodowli czy też łowiectwie. Nie, nie mam zbyt daleko do pracy. Droga w jednym kierunku nie zajmuje mi więcej czasu niż innym pracownikom biura. Poza tym, może przywiązałem się jednak trochę do świata mojego dzieciństwa? Wreszcie to tam mogę zarabiać na utrzymanie swego domu. Dlaczego zapłatę przynoszę w formie złotych i srebrnych przedmiotów? Bo to także tu ma swoją wartość. Tu, w krasnoludzkim banku wymieniam je na miejscową walutę. Czemu nie szukam następnych Bram? Och, znalazłem parę tu i ówdzie. Ale nie ciągnie mnie już włóczęga po nieznanym lądach. Tu mi dobrze, przy boku mej ukochanej. Jak to możliwe, że umiem znajdować i przechodzić przez Bramy? Nieraz się nad tym zastanawiałem. Nie wiem.

Może po prostu dlatego, że zawsze w nie wierzyłem?